

biegu napadu, dodając, że „względy natury konspiracyjnej nie pozwoliły na natychmiastowe ogłoszenie akcji, a czyni to dopiero dzisiaj, kiedy uczestnikom jej nie już nie zagraża”.

Zamieszczamy w niniejszym numerze podobiznę jednego z uczestników owego głośnego napadu, a



Echa napadu na pocztę: Zmarły z ran Stefan Kałdunek, uczestnik zamachu na pocztę na Wspólnej w Warszawie.

wybitnego członka organizacji bojowej, 19 letniego Stefana Kałdunka, znanego w partyi pod pseudonimem Czesława. W czasie napadu śmiertelnie zraniony przez woźnego pocztowego, zmarł z ran w szpitalu św. Ducha, wśród strasznych cierpień.



## ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

13. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Ułożył Antoni Waranka, Kocmań.

— Niechże już moja pani przestanie się gniewać i pozwoli na wytłumaczenie. Często pozory.....  
— Pan mnie chyba zrozumiałeś — przerwała Elena, wyprostowana, groźna, dumna — i wskazała mu drzwi.

Conte Alfonso zzieleniał. To go rozdrażniło. Widzi, że dawną metodą przez żarty, przymilania, nie utrzyma się na pozycji, więc postanawia użyć brutalności, przemocy. Postanawia zrzucić maskę i bez maski opanować Elenę, a przynajmniej do uległości ją zmusić.

— Dość tej komedii — zawołał groźnie.

— To nie komedia, mój panie — rzekła Elena, cokolwiek strwożona na widok wściekłego z gniewu Alfonsa — to rzeczywistość i prawda. Dziś jeszcze wyjeżdżam.

— Nie wyjedziesz.

— Kto mi zabroni?

— Ja!

— Jakiem prawem?

— Prawem mej woli. Ja tak chcę, abyś została i zostać musisz — mówił z wściekłością hrabia.

— Nie jestem niewolnicą. Zabraniam panu w ten sposób mówić do mnie. Teraz chcę być samą.

Wskazała ręką na drzwi, a drugą sięgnęła do dzwonka, aby zawezwać służbę. W tej chwili Alfons pochwylił jej ręce, i odprowadził od drzwi.

— Puszczaj. Czy to rozbój? Puść pan mnie natychmiast, bo wezwę pomocy.

— Nie puszczę. Musisz zostać przy mnie i zemną. Pomocy wzywać nie możesz, bo ci nie wolno. Abyś ze mną została, zmusza cię Salita Santa Nicola, wzywać pomocy zabrania ci Salita Santa Nicola. Rozumiesz mnie? Salita Santa Nicola!

Mówił z wolna, dobitnie, z siłą, z uśmiechem szyderczym na ustach, a z ogniem piekielnym w o-

czach. Elena zadrżała, lęk ją zdjął, energia opuszczać poczyniała. Alfonso dostrzegł to, nabierał więc otuchy, wiary w skuteczność tej nowej metody brutalstwa i już bez maski, cynicznie, jak prawdziwy bandyta, pastwił się nad Eleną, aby ją złamać, zdeptać.

— Tak moja piękna pani! Salita Santa Nicola. To węzeł, który cię do mnie przykuwa na całe życie.

— Ale ja jestem niewinną. Ja nie zabiłam go...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się szatańsko hrabia. Niewinna! A kto mnie wprowadził do sypialnego pokoju? Kto potem...

— Milcz milcz, na Boga!

— Kto? Oto piękna Elena Luidgarde. Jesteś współwinną; jesteś nielepszą odemnie, a może i gorszą, bo to był twój mąż...

— Zlituj się, milcz, nie mów, nie wspominać! — błagała Elena, zalewając się łzami.

Alfonso tryumfował; widział, że zwycięża, chciał zadać cios ostatni.

— Jeżelibyś mnie porzuciła, cały świat dowiedziałby się o wszystkim. Jabyś zdołał uniknąć pościgu policyi, ale tybyś go nie uszła. Albo więzienie by cię czekało i śmierć na szafocie, albo samobójstwo.

Wpatrywał się w ofiarę swą bezlitośnie, nawet z zadowoleniem. Był już pewien, że zwyciężył, że mu się Elena nie wymknie. A ona? Jakże go nie nawidziła w tej chwili, jak strasznie nim pogardziła? I to ten sam człowiek tak przemawia, co do niedawna usypiał jej sumienie, głuszył wszelkie poczucia winy, co ją sam nakłonił do tego, co się stało. I to ten sam człowiek, który był dla niej ideałem. Stał bez maski i Elena widzi, że to brutalny bandyta. Straszne uczucia wstępu, obrzydzenia ku Alfonsowi wyrastają w niej, rosną. Padła na szezlong i rozpaczliwe łkanie rozdzierało jej piersi.

Conte Alfonso postanowił raz jeszcze uderzyć pałką:

— Tak, tak, moja piękna Eleno Luidgarde! Rozdzielić się nie możemy, Salita Santa Nicola złączyła nas na zawsze. A teraz zostawiam cię samą. rozmyślaj nad tem, co ci powiedziałem i jutro bądź taką, jak dotychczas, a głupstwom i zazdrości daj spokój.

Wyszedł. Elena przeleżała do rana na szezlongu, nie rozebrana, osłabiona, na pół żywa.

### XV.

#### Wilhelmina.

Było to właśnie na jeden dzień przed temi smutnymi scenami, gdy Aleksandrowicz przybył do Genewy. Zgłosił się do dyrekcji policyi, przedstawił legitymację swego rządu i prosił o pozwolenie podjęcia czynności policyjnych w pensjonacie Winterowej. Uzyskawszy je, wraz z przyrzeczeniem pomocy, gdyby się okazała potrzebna, nadał się do pensjonatu.

Zakład ten znajdował się w obszernej willi, otoczonej ogrodem. U bramy był domek portyera. Tu się najpierw Aleksandrowicz zatrzymał i z portyerem rozpoczął rozmowę, dawszy mu sowity napiwek. Pokazał portyerowi spinkę z miniaturą i pytał, czy też tu niema podobnej pani. Napiwkiem do rozmowy zachęcony portyer, rad też z przygody, że się nagadać może, przypatrzył się uważnie spince, wziął ją ku światłu, uśmiechnął się i zawołał:

— Ha, ha, ha, wszak to nasza Wilhelmina!

— A nie mylicie się?

— Ej, gdzieżby też. Przecież ja tu znam wszystkie pani. Tyle lat jestem portyerem, a ta ślicznotka jest tu rok trzeci, toż się jej miałem dość czasu napatrzeć.

— Jak się też nazywa ona?

— Ej, co tego, to już nie wiem, bo tu u nas wszystko po imieniu. Pani nasza, to jakby matka dla tych dzieci i zawsze nakazuje nauczycielkom, aby tylko po imieniu do panien się odzywały, jak by to było w rodzinie.

— Jakbym ja też mógł się przypatrzeć tej małej?

— O, to nie sztuka. Codzień wychodzą o trzeciej na spacer, to je pan wszystkie z mego okienka zobaczy, bo tędy na ulicę wychodzić muszą; innej drogi niema.

Jakoś przed drugą był Aleksandrowicz na stanowisku. Zaledwie stanął w okienku, dziewczęta zaczęły wychodzić parami; w trzeciej parze zoczył Wilhelminę, a portyer go trącił i szepnął:

— O, o, widzi pan, to ona.

Istotnie, zdumiewająco podobna, tylko bardziej

rozwinęta; znać, że miniatura przed dwoma laty robiona. Nie było wątpliwości; Aleksandrowicz znalazł to, czego szukał. Dowiedziawszy się, że Winterowa o czwartej przyjmuje interesantów, wrócił o tej godzinie i kazał się anonować. Bilet jego zawierał tylko imię i nazwisko „Iwan Aleksandrowicz”, więc Winterowa nie mogła się domyśleć w jakim celu przybywa, ani kim jest właściwie.

— Pani wybaczy, że zabiorę chwilę czasu prośbą o pozwolenia zobaczenia Wilhelminy.

— Ale której?

— Tej — i pokazał miniaturę.

— A z czyjegóż upoważnienia chce ją pan widzieć?

— Z upoważnienia jej ojca.

Winterowa spojrzała niedowierzająco, a nawet niechętnie na przybysza; on to spostrzegł i dodał pospiesznie:

— Chciałem ją tylko zobaczyć, pomówić z nią parę słów w obecności pani i nic więcej.

Winterowa nie pozbyła się niechętnego wyrazu twarzy, wpatrywała się w Aleksandrowicza, jakby się namyslała co czynić, wreszcie powiedziała:

— Ubolewam bardzo, że pańskiego życzenia spełnić nie mogę. U mnie jest taki regulamin, że panienki tylko w niedzielę odwiedzać można. Wyjatkowo dla nikogo nie czynię.

— Ależ ja tu jestem w przejeździe, do niedzieli czekać nie mogę i jedynie na kilka minut oderwałbym Wilhelminę od zajęć. Nie są to właściwie takie odwiedziny, o jakich regulamin myśli.

— Być może, iż pan ma słusznosc co do tego, ale matka dziewczynki, oddając mi ją pod opiekę, wyraźnie zastrzegła sobie, abym nikomu nie pozwalała odwiedzać jej dziecka, kto nie będzie miał jej samej upoważnienia. Zechce pan przyznać, że mam obowiązek zastosować się do życzenia matki, która mi swe dziecko powierzyła.

Winterowa podniosła się z fotelu, na znak, że radaby skończyć rozmowę, jako już zbyt długą. Aleksandrowicz widzi, że tym sposobem celu nie dopnie i że trzeba we właściwym wystąpić charakterze, więc wstał również, dobył legitymację urzędową i piśmienne pozwolenie genewskiej dyrekcji policyi i te dokumenta wręczył właścicielce pensjonatu.

— Teraz pani raczy zapewne zgodzić się na moją prośbę, bo dalsza odmowa ze strony pani, zniewoliłaby mnie do wezwania pomocy i wkroczenia do pensjonatu przemocą, co by dla zakładu pani, dla jego opinii było zapewne niemiłe i szkodziwe.

— Nie mogę opierać się urzędowej działalności, podjętej w imieniu prawa.

Aleksandrowicz udzielił potrzebnych wyjaśnień Winterowej o morderstwie w Salita Santa Nicola, o spince z miniaturą i o podejrzeniach, jakie się policyi nasuwać muszą.

— Jak się nazywa ta mała?

— Luidgarde. Wilhelmina Luidgarde.

— Kiedy ją pani oddała matka pod opiekę?

— Przed trzema laty.

— Możeby pani raczyła mi opowiedzieć wszystko to, co się wiązać może z oddaniem pani tego dziecka.

— Przed trzema laty przyszła tu jakaś elegancka dama z życzeniem, abym przyjął jej czteroletnią córeczkę. Nie chciałam się na to zgodzić, bo przyjmuję dzieci tylko w wieku szkolnym będące, ale na usilne prośby uczyniłam wyjątek, skoro matka ofiarowała się zapłacić koszt na utrzymanie osobnej wychowawczyni. Zostawiła mi z góry zapłatę całoroczną, zastrzegła sobie, abym nikomu nie mówiła o nazwisku dziecka, nikomu dziewczynki nie pokazywała, chyba, że od niej przyniesie piśmienne upoważnienie, najczulej pożegnała dziecko i wyjechała.

— Czy zostawiono pani metrykę dziecka?

— Nie. Wtedy nie była potrzebna.

— A nie wiadomo pani, czym jest matka dziewczynki?

— Nie wiem. Wygląda bardzo elegancko, z rozmowy poznać, że jest osobą wykształconą, dystygowaną. Że jest bogatą poznać z tego, że nie szczędzi niczego dla dziecka, że płaci wszelkie rachunki i najpunktualniej.

— A gdzie mieszka?

— Właściwie wciąż podróżuje, ale ostatniemi czasy była w Genewie.

— W Genewie? Tak? A czy wiadomo pani jej adres genueński?

(Ciąg dalszy nastąpi).